# ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Sierpnia. № 34. Roku 1856.

## MACOCHA.

Po cienistym ogrodzie małego dworku wiejskiego przechadzała się wieczorną porą wysoka i smukła pani domu. Poważny acz łagodny i ujmujący wyraz jej oczu świadczył o wieku nieco już dojrzalszym, lubo piękne i regularne rysy twarzy zachowały w całej pełni świeżość i resztę wdzięków młodości. Ładna siedmnastoletnia dziewczyna, która zbliża się właśnie z przeciwnej strony ogrodu, mogłaby ujść w tej chwili za młodszą jej siostrę, gdyby wyn ówione na wstępie słowa nie zdradziły natychmiast tajemnicy.

„Wystaw sobie kochana mamo,“ — zawołało dziewczę zdaleka — „sąsiad nasz, pan Antoni, żeni się, a biedna Adela dostaje macochę!

Lekka chmura przemknęła przez czoło matki.

„Dlaczegoż „b i e d n a Adela?“ — rzekła po chwili. — „Zkądże to ubolewanie nad jej losem? Czyż nie lepiej dostać matkę, która obejmując zarząd domu, przywróci w nim ład i porządek, i odbierze gospodarstwo z rąk obcych i najętych?“

„Wszystko to dobrze, droga mamo!“ — odparła młoda dziewczyna nieco zakłopotana.— „Ależ będzie to zawsze macocha.“

Łagodne oczy matki posmutniały widocznie. Jakieś niemiłe wspomnienie zdawało się wzruszać jej serce. Wzięła po chwili córkę za rękę, i rzekła z powagą:

„Naprożno więc kazałam ci wystrzegać się podobnego brzydkiego uprzedzenia. Powtarzasz w dobrej wierze, co bredzi gmin nierozumny. Chciałabym uleczyć cię raz na zawsze od szkodliwej łatwowierności dla złośliwych a niedorzecznych powiastek ludzkich. Pójdź ze mną do tej oto altanki, a opowiem ci małą historyę, która może choć w części zmieni wyobrażenie twoje.“

I usiadły matka z córką w małej altanie pod cieniem kwitnących bzów. Pierwsza wsparła głowę na ręce, spuściła zamyślone oczy ku ziemi, i po krótkiem milczeniu zaczęła opowiadać.

* * *

W pewnem małem miasteczku żył przed niewielu laty w najszczęśliwszych stosunkach familijnych bardzo zacny i szanowany urzędnik, którego w powieści mojej nazywać będę panem Ignacym. Z sześcioletniego pożycia z żoną miał on dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopczyka. Dziewczynka liczyła dopiero siedm, chłopczyk pięć lat, gdy nagle wybuchła w okolicy epidemiczna choroba, która zabierając liczne ofiary w mieście, nawiedziła także smutkiem i żałobą dom pana Ignacego. Żona jego zachorowała, a mimo wszelkiej pomocy lekarskiej nie można było zachować ją przy życiu.

Okropnyto był cios dla ojca i dzieci. Matka zarządzała całym domem z taką troskliwością, że gdy umarła, zabrakło jej nie tylko w sercach wszystkich, lecz w każdej drobnostce gospodarstwa. Nie widział tego pan Ignacy, gdyż bolejąc srodze nad stratą ukochanej żony, zapomniał o wszystkiem innem, i tylko w zatrudnieniach obowiązku szukał niejakiej ulgi. Do zarządzenia osieroconym domem przyjął zacną na pozór gospodynię, starą garderobianę z pewnego obywatelskiego dworu w sąsiedztwie, której wkrótce powierzył także pieczę nad pozostałemi dziećmi.

Trzy lata wytrwał w tym stanie. Gdy jednak boleść zaczęła uśmierzać się powoli, wglądnął uważniej w stosunki domowe, pomyślał o wychowaniu dzieci, zapragnął większej wygody dla siebie samego. A w domu jego zaszły od śmierci żony tak wielkie zmiany, że czuł się obcym w swoich własnych ścianach. Dzieci wydały mu się zaniedbane, opuszczone, nie podobne bynajmniej do tych, które niegdyś wzrastały pod bacznem okiem matki. I poznał wtedy pan Ignacy, że zbłądził usuwając się zupełnie od spraw domowych. Chciał tedy nagrodzić swoją winę, i gorliwiej nadal zająć się domem. Ztąd zaś powstały nieporozumienia i spory z samowładną dotychczas gospodynią. Pan Ignacy miał za słaby cha-

rakter, aby się komuś oprzeć stanowczo. Lubił przytem spokój domowy, i nie mógł znieść na dłuższy czas podobnego stanu rzeczy w gospodarstwie i wychowaniu dzieci. Lubo więc pamięć pierwszej żony nie wygasła jeszcze w jego sercu, postanowił wejść w powtórne śluby małżeńskie, pozyskać matkę dla sierot i pozbyć się swarliwej gospodyni.

Pamiętając przytem na wiek swój, szukał pan Ignacy przyszłej towarzyszki życia w latach nieco dojrzalszych. Wybór jego padł wkrótce na wdowę po pewnym lekarzu, kobietę skromną, uległą, rozsądną, która z szczerem sercem przyjęła jego oświadczenie, i nie mniej szczerze pragnęła usprawiedliwić jego zaufanie. Pan Ignacy był pełen najlepszych nadziej. Im bliżej poznawał swoją przyszłą małżonkę, tem piękniejszych dopatrywał w niej przymiotów, tem silniejszego nabywał przekonania, że będzie nie tylko najlepszą matką dla pozostałych sierot, lecz oraz najrzadniejszą gospodynią w opustoszałym domu.

Jakkolwiek skrycie atoli przystępował p. Ignacy do dzieła, przeniknęły je wkrótce ciekawe sąsiadki, i uwiadomiły zaraz o wszystkiem dotychczasową rządczynię domu. Rozumie się, że dla niej wiadomość podobna nie mogła być pożądaną. Wiedziała bowiem, że potrzeba będzie ustąpić przed nową panią domu. Nie posiadając się więc od gniewu, parskała na wszystkie strony żółcią, wylewała ją w tysiącznych gorzkich przymówkach. „Jej samej nie obchodziły wcale“ — jak mówiła — „swaty pana Ignacego. Lecz żal jej było z całego serca tych biednych dziatek, które miały dostać się naraz w nielitościwe ręce macochy. A któż lepiej wie od niej, co to — macocha?! Nie jedną bowiem znała osobiście, o niejednej słyszała od ludzi, albo czytała w książkach. Lecz jegomość jest niezawisłym panem swojej woli, może robić co mu się tylko podoba, a kiedy dał się zaślepić do tego stopnia, że nie uważa ani na swoje, ani na swoich dzieci szczęście, to nie do niej należy odwodzić go od tego. Nie pozostaje jej teraz jak tylko przygotować dzieci do grożącego im losu, a potem czuwać nad niemi, choćby tylko z oddali. Z samej zaś czci ku nieboszce ich matce, będzie ona poczytywała sobie za święty obowiązek zajmować się biednemi sierotami, nawet po ożenieniu się jegomości.“

Dzieci bawiły się właśnie w swoim pokoju, gdy panna Józefa, jak ją nazywano zwyczajnie w domu, weszła z wiadomością o zaręczynach ojcowskich.

„Wiecie co nowego?“ — rzekła zaraz na wstępie. — „Wkrótce dostaniecie macochę.“

„Macochę?“ — zawołał mały Ludwiś przerażony.

„Macochę?“ — zawtórzyła Adelka z nieniniejszą zgrozą. — „My nie chcemy macochy, my nie chcemy rozstawać się z tobą. Wszakżeś nam sama mówiła, że macocha będzie nas łajać, bić i morzyć głodem.“

I zaczęły dzieci płakać rzewnemi łzami. Panna Józefa starała się pocieszyć je przyrzeczeniem, że nie zapomni o nich i poźniej. A jeśli macocha będzie źle obchodziła się z niemi, to postara się, aby ojciec wiedział o wszystkiem. Tymczasem zaś zakazała dzieciom jaknajsurowiej mówić o przyszłej macosze w obec ojca.

Gdyby pan Ignacy nie był nazbyt zajęty swojem bliskiem ożenieniem i zwyczajnemi sprawami obowiązku, byłby poznał z łatwością, że jakaś skryta obawa dokucza dzieciom, że im spędziła wesołość z twarzy, i wkorzeniła się głęboko w serce. Teraz jednakże nie miał on czasu na to. Wtem narzeczona jego zapragnęła widzieć dzieci przed ślubem. Pan Ignacy umyślił spełnić coprędzej zacne życzenie, i zapoznać sieroty z przyszłą matką. Kazał więc pannie Józefie przebrać dzieci w schludniejsze suknie. Nigdy bowiem nie wydały mu się one tak zaniedbane jak dzisiaj, gdy po raz pierwszy spojrzał na nie z nową uwagą.

„Zkądże to w odwiedziny z dziećmi w sobotę!“ — zagadnęła panna Józefa zadąsana. — „Już trzecia godzina po południu; do jutra obruczą się do niepoznania.“

„Tedy dasz im panna Józefa inne sukienki“ — odparł pan Ignacy dobitnie. — „Nie życzyłbym sobie ujrzeć dzieci moje po raz drugi w podobnym stanie. Zresztą“ — dodał żywo, gdy panna Józefa miała już jakąś cierpką odpowiedź w pogotowiu — „muszę jeszcze oznajmić, co odtąd przestaje być tajemnicą. Jestem już po zaręczynach, a za cztery tygodnie obchodzić będę wesele.“

„Za cztery tygodnie!“ — Zawołała panna Józefa przestraszona tak bliskim terminem.

„Tak jest“ — odparł krótko pan Ignacy. Po chwili zaś dorzucił uprzejmiej: „Rozumie się, że przyszła żona moja obejmie i zarząd domu. Abyś jednak panna Józefa nie znalazła się nagle bez utrzymania, postarałem się o miejsce dla niej u jednej z moich krewnych.“

„Bardzo panu dziękuje“ — odpowiedziała Józefa nadąsana. — „Mam ja swoje własne oczy, i widzę dobrze, co się w około mnie dzieje. Wiem dobrze, iż z samego przywiązania ku dzieciom nie mogłabym nigdy znieść się z macochą. Sama więc postarałam się o nowe miejsce. Dzięki Bogu, ludzie którzy wypełniają sumiennie swoje obowiazki, nie potrzebują troszczyć się o utrzymanie. Jeśli panu zawadzam, to zaraz jutro mogę ustąpić się z domu. Życzyłabym tylko przyszłej pani, aby nie zawiodła w niczem nadziei.“

Pan Ignacy nie zważał wcale na cierpką przymówkę, lecz odrzekł z lekkiem zakłopotaniem:

„Moja panno Józefo! Tak prędko nie mogłbym się obejść bez twoich usług. Jesteś mi jeszcze potrzebną w domu. Wierzaj oraz, że nie jestem wcale niewdzięcznym, i że nie zapomnę nigdy, jak gorliwie zajmowałaś się domem i dziećmi.“

„O, bardzo proszę! Pełniłam tylko moją powinność“ — odpowiedziała z udaną skromnością. — „Życzę z całego serca, aby ją podobnież wypełniały i te osoby, które po mnie rządzić będą tym domem. Lituję się tylko nad biednemi dziećmi.“

„Do tego nie ma najmniejszego powodu, panno Józefo. Moja przyszła żona lubi dzieci, i będzie im niezawodnie najlepszą matką.“

„Dałby to Bóg!“ — dorzuciła panna Józefa, i wziąwszy swoje klucze, wyszła gniewnie z pokoju.

W godzinę po tej rozmowie był pan Ignacy z dziećmi u progu swej narzeczonej. Dzieci miały oczy zapłakane, bo panna Józefa uprzedziła je nazbyt wymownie, że idą do macochy, która zapewnie ma zdecydować, co począć z niemi na przyszłość. Nie omieszkała przytem nagadać dzieciom, że na pierwszy raz obejdzie się macocha z niemi jak najuprzejmiej. Lecz pomimo tego kazała im dać jej poznać, że się jej bać nie będą.

Narzeczona pana Ignacego wyglądała tymczasem z niecierpliwością przybycia oczekiwanych gości, z któremi wkrótce tak ścisłe spająć ją miały węzły. Skoro ujrzała ich przez okno, wybiegła naprzeciw nim do sieni, i całując i ściskając oboje dziatek, rzekła ze łzami rozczulenia:

„Kochajcie mię moje dzieci, a ja odwzajemnię się wam z całej duszy. A jeśli nie zdołam zastąpić matkę, którąście mieli, będę wam zawsze matką szczerą i kochającą.

„Będziesz nam tylko macochą“ — mruknęła Adela, spozierając ukradkiem na brata.

Słowa te przeraziły czułą kobietę. Zawierający się w nich zarzut miał okrutne znaczenie w ustach dziecięcia.

„Tak jest, tylko macochą“, — powtórzyła po chwili — „lecz macochą dobrą i przywiązaną. Ale zkądże się tak boisz macochy, moja Adelko!“

„O, ja nie chcę macochy“ — zawołała Adela, uciekając z niechęcią od wyciągniętej ku sobie ręki.

„Coż to znaczy?“ — rzekł pan Ignacy surowo. — „Ktoż cię nauczył podobnego zachowania się. Wstydź się Adelo; zasmucasz matkę, nim jeszcze przestąpiła progi naszego domu. Patrz Ludwik grzeczniejszy od ciebie.“

„O, i Ludwik nie chce macochy!“ — wtrącił zachmurzony chłopczyna.

Pan Ignacy zapłonął gniewem, lecz prędko uśmierzyła go przyszła małżonka.

„Daj pan pokój dzieciom“ — rzekła łagodnie. — „W ich głowach roją się macochy, o jakich nasłuchały się w powiastkach piastunek swoich. Już one przekonają się z czasem, że i macocha może sobie zasłużyć na miłość i poważanie swoich przybranych dzieci.“

Pan Ignacy nic na to nie odpowiedział. Widząc jednak jak podobne zachowanie się dzieci rąziło jego czułą z natury narzeczonę, odprowadził je zaraz do domu.

W cztery tygodnie poźniej odbyło się wesele. Panna Józefa opuściła dom zaraz w dzień ślubu. Odchodząc pożegnała się czule z dziećmi, które ustrojone w suknie świąteczne, bawiły się razem przed gankiem.

„Biedne dziatki!“ — rzekła całując Adelę, i głaszcząc Ludwika po głowie. — „Dostaliście więc macochę. Gdyby was jednak biła, albo morzyła głodem, to dajcie mi tylko znać jak najrychlej, a ja się już ujmę za wami.“

Dzieci przestały się bawić, smutek i żałość ścisnęły młode ich serca, i oboje zaczęły płakać rzewnemi łzami. Wewnątrz domu panowała tymczasem do poźnego wieczora gwarna wesołość. Goście bawiły się jak najlepiej, muzyka przygrywała ochoczo, tylko jedna panna młoda była czegoś smutna i zamyślona. Chciała przed chwilą ułożyć sama dzieci do łóżka, lecz te z krzykiem i płaczem nie dały jej nawet zbliżyć się do siebie. Powróciła więc do towarzystwa, nie mówiąc nikomu ani słówka, tknięta do żywego tą głęboką niechęcią dzieci, którym chciała być odtąd matką w całem znaczeniu tego słowa. Wydało jej się teraz jakoś obco wtym domu, w którym już pozostać miała na zawsze.

*

Nawet portret pierwszej żony zdawał się gniewnie i surowo spoglądać na nią, jakgdyby chciał ją wypłoszyć z domu.

Wkrótce też przekonała się biedna macocha, że jej przedślubne przeczucia i obawy nie były wcale bezzasadne. Nowe jej stanowisko miało tysiączne trudności do zwalczenia.

Matka pierwszej żony pana Ignacego mieszkała przy tej samej ulicy, i wywierała zawsze wielki wpływ na zięcia. Przybiegała i teraz nazbyt często do jego domu, i mieszała się ustawicznie w zarząd wewnętrzny. Nowa gospodyni, łagodna i potulna, przyjmowała ją zawsze najuprzejmiej, i słuchała we wszystkiem jej rozkazów. Starała się przytem wszelkiemi siłami urzeczywistnić swoje obietnice, i zastąpić dzieciom w każdym względzie rodzoną matkę. Przedwszystkiem pragnęła pozyskać ich miłość i zaufanie. Lecz to właśnie było rzeczą najtrudniejszą. Wychowanie dzieci okazało się bardzo zaniedbane. Zbytnią pobłażliwością panny Józefy i ciągłemi pieszczotami babki wzrosły one w upor, nieposłuszeństwo i różne inne przywary. Potrzeba więc było zaraz wykorzenić z nich zaród złego. Najpierwej próbowała macocha środków łagodnych, napomnień i t. p. Gdy te jednak nie pomagały, musiała postąpić sobie surowiej. Wtedy biegły dzieci z płaczem do babki, która całym swoim wpływem jakby umyślnie podsycała ich upor. Naprożno uciekała się biedna macocha do pomocy męża. Jako człowiek słabego charakteru nie mógł pan Ignacy zdobyć się na żaden krok stanowczy. O własnych więc siłach musiała szlachetna kobieta walczyć z swojem przytrudnem zadaniem. A do tego cały jeszcze świat zdawał się sprzysięgać na nieszczęśliwą macochę. Nie tylko babka, lecz i dawniejsza gospodyni panna Józefa, i wszyscy też sąsiedzi, silili się udaremnić jej zabiegi i starania około dzieci, i siały skrzętnie kąkol na rolę, którą ona krwią serca swego chciała uprawić. Ilekroć skarciła dzieciom jaki postępek, lub ukarała jaką swawolę, toż zaraz tysiączne wyrzuty i obmowy zlewały się na nią ze wszystkich stron. „Patrzcie!“ — wołali chórem sąsiedzi. — „Otoż wyciąga już szpony swoje, snać już ustaliła się w domu. Teraz dopiero poczną dzieci macochę! Mogą już niebożęta zacząć modlić się do nieboszczki matki, aby je spiesznie przywołała do siebie.“ Niechże przeciwnie przebaczyła dzieciom jakiekolwiek przewinienie, a w tej chwili ozwały się nowe niemniej naganne głosy: „Otożto macocha! Własne dzieci prowadziłaby wcale inaczej. Lecz coż ją obchodzą znienawidzone pasierby! Puszcza ich samopas, nie troszcząc się o ich przyszłość. Biedne sieroty!“

I dokąd tylko przyszły dzieci pana Ignacego, wszędzie pieszczono je, żałowano i wypytywano się o każdy postępek, o każde słówko macochy. Aż nazbyt skłonni są ludzie źle mówić i myśleć o innych, a przykład podobny wszczepia się zaraz głęboko w serca młodociane. Wszystkie zabiegi macochy, aby pozyskać przywiązanie swoich pasierbów, rozbijały się o takie nieprzyjazne wpływy zewnętrzne. Mowy i politowania obcych ludzi wpajały w dzieci przekonanie, że macocha rzeczywiście źle się z niemi obchodzi. A tym sposobem rozszerzał się codziennie przedział między sercem matki a dzieci, tak niedorzecznem zrodzony uprzedzeniem.

Pod ten sam czas zachorowała Adela na szkarlatynę, a od niej przeszła słabość na brata. Poczciwa macocha pielęgnowała chorych z poświęceniem wszystkich sił swoich. Atoli mały Ludwiś zapadł od razu tak gwałtownie, że wszelkie starania lekarzy, i najtroskliwsze pielęgnowanie matki okazały się daremnemi. Chłopczyna umarł w ramionach zatrwożonej macochy. A właśnie w tejsamej chwili leżała Adela bez przytomności, i prawiąc od rzeczy w gorączce, przywoływała na pomoc matkę rodzoną, obwiniała macochę, że ją otruła, i że ją chce ndusić.

Nieszczęśliwa kobieta zniosła wszystko cierpliwie. Okropne to zaskarzenie w gorączce przeszywało na wskróś jej czułe i szlachetne serce. Pomimo to nie zapomniała ona swoich obowiązków. Dzień i noc czuwała nad łożem chorej dziewczyny, dopóki nie nastąpiło przesilenie choroby, i dziecię nie powróciło do przytomności.

Lecz wtedy nie mogła już biedna macocha zbliżyć się do łoża Adeli. Straszne przywidzenia gorączkowe przypominały się dziewczynce nawet po minionej malignie. Nie pozwoliła więc znienawidzonej macosze przystąpić do swego łóżka, i nie uspokoiła się, dopóki nie przybyła babka czuwać nieprzerwanie nad jej łożem. Gdy nadto dowiedziała się o śmierci brata, nie mogła przez dłuższy czas utulić się w żalu, i obwiniała głośno macochę o otrucie biednego Ludwisia.

Byłato smutna pora dla całego domu, a najwięcej dla biednej macochy. Jej czułe serce kurczyło się z bolu, a nie było nikogo, ktoby ją zrozumiał. Lubo nie skarzyła się nigdy na zmartwienie sprawione nieprzezwyciężoną

odrazą dziecka, musiał przecież dostrzedz je wkońcu niezbyt baczny małżonek. Blade i cierpiące lica żony wpadły mu najpierwej w oczy. Zapytana o przyczynę swojego zmartwienia, musiała biedna kobieta przyznać wreście ze łzami w oczach, że ta ciągła odraza, ta z każdym dniem wzrastająca nienawiść i nieufność dziecięcia, którego miłość i przywiązanie nadwszystko sobie zjednać pragnęła, wycieńcza jej siły, i zakrwawia serce. Wtedy dopiero postanowił pan Ignacy przyłożyć się osobiście do zaradzenia złemu.

Najprzód więc zabronił swojej dawnej gospodyni — najzaciętszej nieprzyjaciółce biednej macochy, wszelkiego wstępu do domu i porozumiewań z Adelą. Potem przywołał do siebie Adelę, która miała już podówczas tyle lat i rozsądku, aby zrozumieć napomnienie ojca i poznać istotną różnicę między złą a dobrą macochą. Pan Ignacy przedstawił jej wymownie cierpienia szlachetnej i kochającej ją matki, i zapytał się jej surowo, z jakich powodów tak niegodnie wywzajemnia miłość i pieczołowitość najlepszej z matek. Lecz coż pomogą słowa przeciw uczuciu, przeciwko uprzedzeniu, które już nazbyt głęboko wkorzeni się w serce młode, niedoświadczone. Adela zdawała sie uznawać słuszność ojcowskich napomnień, przyrzekła poprawę, i starała się nawet dotrzymać poźniej słowa. Lecz wszystko było naprożno; uprzedzenie zwyciężyło, a dawna odraza ku macosze zaczęła znowu występować na jaw coraz widoczniej.

Teraz dopiero poznał ojciec, żę nie masz innego środka do przywrócenia spokoju w domu, jak tylko rozłączyć niepoprawną córkę od cierpliwej macochy. Mimo wszelkie więc przeciwne zabiegi babki a nawet osobiste wstawiania się samej poczciwej żony, odesłał Adelę na pensyę do stolicy. Pan Ignacy mniemał, że wyrywając tym sposobem dziewczynę zpod wpływu babki i panny Józefy, przywiedzie ją powoli do tego, że sama zastanowi się baczniej nad postępowaniem matki, a temsamem przekona się z własnego popędu o niesłuszności swojego uprzedzenia.

Sześć miesięcy bawiła już Adela na pensyi, a przez ten czas odraza jej ku macosze raczej wzmogła się, niż uśmierzyła. Pragnęła właśnie odwiedzić ojca, ujrzeć się z babką, do której najwięcej tęskniła, gdy wtem otrzymała list z doniesieniem, że przed kilką dniami obdarzyła ją opatrzność małą siostrzyczką. „Dziecię jest zdrowe zupełnie;“ — kończył list ojcowski — „matka jednak bardzo jest osłabiona i cierpiąca.“

Adela rzuciła list na ziemię, a rozpieczętowała z ciekawością otrzymane równocześnie pismo panny Józefy. I ona też donosiła o przybyciu nowej osoby w dom pana Ignacego, a kończyła kilką złośliwemi uwagami: „Wrótce nieobecna Adelka będzie zupełnie zapomnianą“ — pisała dawna gospodyni — „bo nowonarodzone dziecię jest bożyszczem całego domu i t. p.“

„Bogdajby niedługo żyło!“ — mruknęła Adela przez zęby, i łza goryczy i zawiści zalśniła w jej jasnych oczach. Dawna nienawiść ku macosze znalazła w narodzeniu się małej niewinnej istoty nową podnietę.

Tak przeminęły dwa albo trzy tygodnie. Adela nie miała nowego listu z domu, aż nagle doszła ją wiadomość, że nowonarodzone dziecię umarło po krótkiej chorobie. Za odebraniem tej smutnej wieści, stanęła biedna dziewczyna jak piorunem rażona. Zdało się jej nagle, że onato właśnie jest powodem nieszczęścia, że jej bezbożne życzenie zakłęło śmierć na głowę niewinnego dziecięcia. I jakiś gwałtowny kurczowy płacz opanował biedną dziewczynę, a jeszcze tegosamego wieczora zapadła w ciężką i niebezpieczną chorobę. Dano niezwłocznie znać rodzicom. Lecz sam tylko ojciec mógł nadjechać do chorej; matka leżała również chora, złomana do reszty śmiercią dziecięcia. A właśnie teraz pragnęła Adela gorąco obaczyć się z macochą.

Nagła i niebezpieczna słabość uleczyła ją zupełnie z nieszczęsnego uprzedzenia, któremu tak długo ulegała. Zaczęła powoli rozpamiętywać całe postępowanie macochy, i zastanawiać się rozsądniej nad swojem własnem zachowaniem się. I łzy rzęsiste cisnęły się wtedy strumieniami do oczu biednej Adeli, a gorzkie wyrzuty sumienia zakrwawiały jej serce. Czułość i szlachetność serca macochy, jej anielska cierpliwość i dobroć i uległość, stanęły nagle niewdzięcznej córce w pamięci. Z niewymownym żalem musiała przypomnieć sobie, ile gorących łez wycisnęła niewinnie z óczu szlachetnej kobiety, której jedyną przewiną było owe nieszczęsne imię *macochy*, przyjęte na siebie w najlepszej myśli i chęci. Biedna Adela nie mogła teraz utulić się w boleści. Odtąd nie miała gorętszego życzenia, jak powrócić do domu, przyznać się do ciężkiej winy, i błagać na klęczkach przebaczenia od szlachetnej a tylokrotnie obrażonej kobiety.

Zaledwie podniosłszy się z łóżka, powróciła Adela do domu rodzicielskiego. Przez

całą drogę miotały nią tysiączne sprzeczne uczucia, lecz gdy stanęła u kresu swojej podróży, jakaś dziwna trwoga, jakieś złowrogie przeczucie, owładnęły jej serce. Bo też nikt nie wybiegł na jej powitanie, nikt nie zdawał się najmniejszej zwracać na nią uwagi. Dopiero na wschodach poznał ją lekarz, wracający właśnie z matczynego pokoju. Lecz słowa jego spadły gromem na biedną dziewczynę. Matka jej nie miała przeżyć dnia dzisiejszego.

Przez kilka chwil nie mogła przerażona ruszyć się krokiem z miejsca. Boleść, żal i obawa rozdzierały jej serce, pozbawiały ją przytomności. Przypadkowo dowiedział się ojciec o jej przybyciu, i wybiegł zaraz na przeciw. On pierwszy ocucił ją z owego odurzenia, i wprowadził do pokoju matki. Zalana gorącemi łzami, rzuciła się Adela na łoże chorej, i obejmując ramionami jej ciężką głowę, zawołała głosem niezrozumiałym prawie od wzruszenia:

„Matko! droga matko! czyż możesz mi przebaczyć?“

„Dziecię moje!“ — odszepnęła macocha. — „Dzięki ci, dzięki mój Boże!“

I wyciągnęła ramiona ku szyi Adeli, i usty swojemi szukała jej twarzy. Lecz w tej chwili opadły ramiona chorej — głowa jej stoczyła się na poduszkę — usta zastygły — serce przestało bić — a ja trzymałam trupa w mojem objęciu.

* * *

„Jakto ty matko?“ — krzyknęło słuchające dotąd w milczeniu dziewczę.

„Ja sama moja droga, ja to byłam ową nierozważną, płochą dziewczyną, która zatruła życie jednej z najszlachetniejszych kobiet, i która odtąd poczytuje sobie za najświętszy obowiązek, za jedyny środek przebłagania cieniów zmarłej macochy, odwodzić innych od podobnego nieszczęsnego uprzedzenia. Prawda że często zdarza się nam słyszeć o złych i nieczułych macochach. Lecz czyż nie słyszymy także o złych i nieczułych matkach? Nie ma więc nic zgubniejszego, jak wpajać podobne niedorzeczne uprzedzenia w serca dziecinne. Zrządzenie losu może im kiedyś nadać rzeczywiście macochę, a wtedy nie tylko ich własna dola wyda im się o wiele smutniejszą niż jest w istocie, lecz zarazem utrudni się niezmiernie przyszłe zadanie macochy. Owszem wzajemne uprzedzenie przeciw sobie może bez wszelkich innych powodów zrodzić z czasem najnieprzyjaźniejsze uczucia między macochą a dziećmi, może najzawziętszą wywołać niechęć!

„Mogęż opowiadanie twoje powtórzyć mojej — nie „biednej“ już przyjaciółce?“ — zapytała młoda dziewczyna z jaśniejącemi oczyma.

„I owszem“ — odparła matka. — „Byleś tylko pożądany odniosła skutek.“

## POEZYA I NAUKI.

Pod koniec swoich nowowydanych *Listów z Krakowa*, poświęconych jak wiadomo rozbiorowi głównych zasad poezyi, przemawia p. J. Kremer w sprawie dzieł naukowych. Osobliwie w chwili obecnej, kiedy o lada wierszyk albo powiastkę dzieje się tyle gwaru w dziennikach, są to słowa godne uwagi. Powtarzamy je tu w całości.

„....Zważ — w literaturze każdego kraju, każdego narodu dwie są główne dzielnice; jakoż jedna część piśmiennictwa odnosi się do literatury nadobnej, pięknej, a druga zajmuje się pracą około nauk i umiejętności poważnych. Literatura nadobna — toć jest kwiat umysłowy, to wonny, barwny luby ogród, co otacza wiankiem wdzięcznym mieszkanie doczesne człowieka; a zamiłowanie jego w tych rajskich kwiatach, unoszac go po nad kłopotki i biedy ziemskie, jak jest cichą wróżbą serca, że człowiek nie zdoła poprzestać na powszedniem, przemijającem życiu, tak jest zarazem rękojmią, że dusza jego nie wyschła, nie zjałowaciała wśród skwarów a krzywd światowych. Piśmiennictwo atoli, trudniące się nauką i umiejętnością, a więc uprawą wiedzy ludzkiej, jest twardem łamaniem się mocy duchowych. Tutaj nie słychać tonów uroczych pieśni, tutaj nie brzmią muzyki uczne lubych, tutaj nie ma fantazyi — onej niebiańskiej wysłannicy, coby zcałowała trud z pracowników czoła, bo tu jedynie prawda, grozy pełna, jest panią a przewodnicą. Na tej roli od wczesnego świtu do pośnego zmierzchu twardo idzie robota, na tej roli nie rozlatują się róże, nie wonią fijołki; ale za to błogosławną siejbą spada na zagon rodzinny ziarno przyszłości duchowej, ziarno co jest podstawą umysłowego bytu i gruntem wszelkich zasobów, na których stoi dom; na tej roli nie rozlatują się róże, nie wonią fijołki, ale rośnie życiodawcze zboże. Gdy człowiek wyciągnął rękę swoją do drzewa wiadomości i spożył owoc jego, wtedy stał się wygnań-

cem z ogrodu rozkoszy; odtąd już krwawym znojem uprawia tej wiadomości rolę, „i w ciężkiem utrudzeniu je chleb z niej.“ Ale, choć ta praca nad wiedzą jest tak twardem pasowaniem się, choć jest powinnością poświęcenia się pełną, przecież ona jest ludzkiego rodu świętem prawem, jest żywotnym każdego kraju zadatkiem.

Takowe mając przekonanie o duchowym rozwoju każdego kraju, wpatrywałem się w piśmiennictwo nasze. Nie trudno było mi dojrzeć, że u nas literatura nadobna, w porównaniu z literaturą ściśle naukową, jest uprawiana przez grono nierównie liczniejsze pisarzy: a tych właśnie prace same jedne stanęły na świeczniku chwały i głośnego imienia, a choć im jako owocom znakomitych i światłych talentów, bez wątpienia należy się to miejsce, i choć jestem przekonany, że ci zacni pisarze stanowią tak przeważną epokę w literaturze, iż dopiero potomki nasze zdołają obliczyć ich ogromny wpływ, jaki wywarli na kulturę umysłową wielkiej publiczności i kraju całego (że nawiasem przywiodę tylko samego Kraszewskiego i Korzeniowskiego), przecież, mimo to wszystko smutno mi przychodziło widzieć, że prace czysto naukowe, gruntowne, umiejętne, najwyższej wagi, opłacane wysileniem długoletniem? stały na uboczy niewidnej, przeoczone od wielkiej publiczności, i patrzyły z zacisza swojego, gdy innym dostawały się wieńce chluby i brzmiące oklaski. Nie dziw tedy, że te dzieła prawdziwej nauki tak rzadko się u nas pojawiają, a rzadziej jeszcze pojawiają się bez ofiary materyalnej własnego imienia tych zacnych pracowników. Nie trudno wcale o dowodne przykłady, potwierdzające to zdanie. Bo nie sięgając go do innych miast, kędy równie nie brak mężów wysokiej zasługi w naukach, poprzestaję tylko na przykładach, które nam Kraków nastręcza; co więcej, wymienię i tutaj tylko te imiona, które w najnowszych czasach przysłużyły się umiejętności. Otoż prace pp. *Muczkowskiego*, *Majera*, *A. Z. Helclu*, *Skobla*, *Czerwiakowskiego*, *Steczkowskiego*, zbogaciły znakomicie bardzo u nas literaturę naukową, obdarzając ją dziełami wysokiego znaczenia; a jednak tych prac nie spotkała cześć odpowiednia zasłudze. Dobrze wiemy, że podobne księgi nie mogą być tak znane większej publiczności jak pisma liczące się do literatury pięknej, wiemy że niesłusznie byłoby wymagać po publiczności, aby się obznajomiała np. z dziełami matematycznemi, prawnemi i t. p., ale zdaje mi się że można wymagać najwięcej od tych pisarzy, których powołanie wiąże się z głosnową dzieła i od tych, którzy sami sobie obrali miejsce na strażnicy rozwoju duchowego, aby zwracali baczność pilną na każdy pojaw w piśmiennictwie, oddając mu słuszne uznanie i cześć; życzymy zaś tego już mniej ze względu na samych autorów, bo tych już wynadgradza poważanie choć szczupłego kółka braci w nauce i własne przekonanie o dopełnionej zacnie powinności; ale wymagamy tego oddania czci zasłudze raczej ze względu na publiczność, której sie to z prawa należy. Bo publiczność, choć nie może sama znać dzieł ściśle naukowych, poznałaby imiona szanownych pracowników, policzyłaby się ze siłami duchowemi, i dowiedziałaby się, komu też na prawdę literatura winna najpotężniejsze zapomożenie i siłę moralną. Nie jest to pocieszającą oznaką, że, gdy rozprawiają o literaturze, piszą i mówią prawie wyłącznie o literaturze nadobnej, tak jakgdyby umiejętności i nauki już na świecie nie było; więc też się niekiedy dzieje (a stało się nawet w tych dniach) że o dziełach, o których prawie wzmianki u nas nie było, pisma zagraniczne rozwodzą się szeroko, nie szczędząc zasłużonych pochwał, i winszując literaturze polskiej, że tak celujących posiada pisarzy.

Nie dziw tedy że właśnie za to trudno nam nie oddać im serdecznej czci i hołdu z całej duszy; bo to oni przecież tej pracy i trudu ciężkiego nie podejmują zaiste dla żadnych zewnętrznych widoków i korzyści, ich nie wiedzie nawet chęć głośnego imienia, ich gwiazdą przewodnią jest ukochanie prawdy i nauki, a tętnem ich serca jest miłość przeczysta, bo gorejące pragnienie służenia zacną pracą oświacie prawdziwej; więc ta gwiazda, ta miłość prowadzi ich na oną rolę, na której za ciężkim ich mozołem rodzi się życiodawcze ziarno przyszłości duchowej. Są to zakonniki-ascety szanowne, co, wyrzekłszy się świata i siebie, ofiarowały się bóstwu przebywającemu w ich sercu. Są to kapłany pilnujące świętego ognia cywilizacyi każdego kraju, bo, widzisz, poezya choć tak ogromnego znaczenia w życiu duchowem ludów, sama nie wystarczy, aby je ucywilizować i uczynić człowiekiem w najściślejszem znaczeniu. Wszak historya i jeografia dają świadectwo pełne powagi, że są ludy na pół barbarzyńskie a świecące przecież uroczą, cudnie piękną poezyą i powieściami pełnemi najwyższego wdzięku. Bez dzieł naukowych nie ma literatury! Do prawdziwej cywilizacyi

czegoś innego jeszcze potrzeba niż poezyi samej; potrzeba aby promień wiary chrześcijańskiej rozgrzał serce, a promień jasny nauki i umiejętności rozświecił myśl i rozum.

Ufam że tych wyrazów moich, tu wyrzeczonych, nie wytłumaczysz sobie tym trybem, jakobym ja niedość cenił prace około literatury pięknej, boć przecie trzy tomy tych listów, które poświęciłem sztuce i poezyi, są dowodem dostatecznym, jak wysoko ją ważę, a forma ich nie naukowa i lekka czyni te książki przecież niby dziełem belletrystycznem. Ale postrzeżesz także, że po napisaniu przed wielu laty pierwszego tomu tej książki, widząc tak szczupły a przytem tak szanowny zastęp robotników, poświęcających się u nas umiejętności, sam siebie zapytałem, czyliby mi nie godziło raczej wrócić do nich i pomnożyć ich liczbę, choćby o jedną jednostkę? Sam siebie zagadnąłem, czyli mi samo sumienie nie nakazuje zaniechania na czas dłuższy pracy nad piękną literaturą, więc tych listów moich, i czyli raczej nie wypada zebrać się, ile mnie stać do pracy ściśle naukowej?....“

Wojny tureckie bywały niegdyś z wielu względów miłe rycerstwu. Pozwalały bowiem okryć się sławą, otwierały pole zasłudze religijnej, i przynosiły jeszcze niemało korzyści materyalnych — łupów bogatych. „Miła tedy i ochotna każdemu ma być wojna na Turczyna“ — mówi nasz Pasek — „bo nie żal i skóry szczerze nadstawić, kiedy wiem, że zwyciężywszy będzie za co plasterek kupić i czem ranę zawiązać. Koniom także u nich wielka wygoda; bo też nie pod niebem, ale pod namiotem sucho i pięknie stoją. Powiadali nasi jakieto tam Turcy mają wygody w tych swoich namiotach, co to i wanny i łaźnie ze wszystkim jako w miastach apparamentem, i zaraz przy nich studnie śliczne, cembrowane, mydła perfumowane, po listwach stosami leżące; wódki pachniące w baniach, srebrne naczynia do wody, nalewki i miednice takież do umywania, noże rubinami, dyamentami nasadzane; zegarki specyalne na złotych obiciach wiszące, nawet pieniądze albo stosami w workach na ziemi leżące, albo tak goło w namiocie na kupach pozsypywane, nigdzie w szkatułach, chyba u tych mniejdostatnich w sepeciku zasznurowane. Zgoła w co tylko tkniesz, to wszystko specyał. Słusznieć każdemu trzeba mieć ochotę do wojny przeciwko Turczynowi, bo się tem i Bogu przysłużysz przeciwko nim wojując (i sobie pożytek sprawisz). Po wygranej Chocimskiej zdobycz nasi wielka wzięli w rzędach srebrnych, w namiotach bogatych, w sepetach zaś owe specyały wyborne, co mógłby drugi na sto tysięcy rachować, one szale bogate, one janczarki. Naprowadzono do Polski wielbłądów siła, tak że go dostał i za podjezdka. Ale teżto jeden syn osobliwie ucieszył ojca zdobyczą. A był ten syn rotmistrzem dymowskim, miał wielbłądów zdobycznych. Przyjeżdżając przed dom, chciał się też ojcu pokazać na powitaniu tureckim strojem. Ustroił się w ubior wszystek turecki, siadł na wielbłąda, i kazawszy czeladzi zatrzymać się na wsi, pojechał przodem do dworu. Ojciec staruszek idzie przez podwórze z laską do jakiegoś gospodarstwa, a owo straszydło wjeżdża we wrota. Ojciec stanie, okrutnie uciekać począł, żegnając się. Syn widząc że się ociec zaląkł, pobieży za nim, wołając: „Stój dobrodzieju, jato syn twój!“ Ociec tembardziej w nogi. Potem rozchorował się z przelęknienia, i niedługo potem umarł. Nasiało się tedy po wszystkiej Polsce rzeczy tureckich, owych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, łubiów bogatych i inszych różnych rzeczy....“

Flota odszukana. W zatoce *Chayuaramas* przy wyspie Trinidad natrafiono wreście po długich poszukiwaniach podwodnych na szczątki flotyli hiszpańskiej, zniszczonej tu w roku 1797 podczas wyprawy angielskiej z wyspy Martinique na Trinidad. Flotyla hiszpańska, składająca się z czterech okrętów i jednej fregaty, spieszyła do obronnego portu w Gasparillo, gdy niespodzianie zastąpiła jej drogę eskadra angielska pod wodza Harveya i lorda Abercrombie. Admirał hiszpański Apodaca poznał od razu niepodobieństwo wymknięcia się silniejszemu nieprzyjacielowi. Kazał więc natychmiast podpalić okręty, a sam z osadą i wszelkiemi kosztownościami flotyli przeprawił się na łodziach ku wyspie. Wszystkie cztery okręty zgorzały i zatonęły; fregata zaś dostała się w ręce Anglików. Z tych to zniszczonych okrętów wydobyto na wierzch 90 dział, z których dwa na szczególniejszą zasługują uwagę. Otoczone smołą dokoła, uszły one całkowicie zniszczeniu. Oba lane były w Sewilli. Jedno nosi datę 5 sierpnia 1776, drugie 14 sierpnia 1777, a każde waży przeszło pół osma cetnarów. Reszta wydobytych dział jako też resztki dębiny z pokładu są zupełnie zniszczone. Kilka tylko belek jodłowych, mających w sobie dużo smolnych części, wydobyto w dobrym stanie, mimo 69-letniego pobytu na dnie morskiem. Wszystkie te szczątki odwieziono na statku *Searsville* do Nowego-Yorku, gdyż całe poszukiwanie podejmowało za upoważnieniem rzadu angielskiego, pewne prywatne towarzystwo amerykańskie własnym nakładem.

Jaką powierzchowność powinien mieć wielki poeta. Pewien podróżnik francuski przywiózł temi czasy do Paryża jeden numer dziennika chińskiego *Zgang Tovai* (Złoty tulipan). Jestto pismo poświęcone wyłącznie sprawom literackim, a z niektórych względów bardzo zajmujące swoją treścią. Mówiąc np. o niezbędnych przymiotach prawdziwego poety, pisze między innemi: „Nie można żadną miarą przywłaszczać sobie imienia wielkiego poety, nie mając powagi słonia w postaci, żywości kuropatwy w oczach, pełni księżycowej w obliczu a szybkości jelenia w nogach.“ Tylko taki więc może nazwać się poetą w państwie niebieskiem, kto w powierzchowności swojej łączy przymioty przynajmniej trojga zwierząt.

**Przypowieści.**— Sześć rzeczy do pożytku i wygody upatrują. Powietrza zdrowego, miejsca wysokiego — Miasta bliskiego, domu wygodnego — Sąsiada szczerego, przyjaciela słownego.

Trzy rzeczy gości z domu wyganiają. Dym, zła żona swarliwa; gdy na szyję komu — Kapie, te rzeczy wyganiają z domu.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*